

Maksymilian Biedrzycki  
"I like it czyli Los Lovers"  
(MAGAZYN MUZYCZNY JAZZ, 1/1990 (371))

Śluchając muzyki z walkmana, wszedłem do ciemnej klatki. Długo szukałem kontaktu, macając ściany na całej długości. W zupełnej pustce dookoła muzyka osaczyła mnie ze zdwojona siłą. Powoli wpadałem w panikę, poddając się narastającemu uczuciu lęku... W końcu ktoś na górze zapalił światło, a ja zdałem sobie sprawę, że przez chwilę przebywałem w zupełnie innym świecie. Takie było moje pierwsze spotkanie z muzyką zespołu LOS LOVEROS.

Powstali we Wrocławiu kilka lat temu, mniejsza o dokładność. Przed trzema miesiącami przyjechali do Warszawy, bo rodzinne miasto przestało stymulować. Ktoś, kto patrzy na ten krok "z zewnątrz", może go nazwać wycieczką w nieznaną lub podcięciem własnych żył. Zerwanie z Wrocławiem jest bowiem definitywne dla każdego z Loverosów. Zostawili rodziny, czyli żony i dzieci, zostawili napisaną przez siebie historię zespołu. Decyzja o wyjeździe zapadła niespodziewanie, chociaż przygotowawali się do niej przez dobre kilka miesięcy. Ostatnie słowo należało do niekwestionowanego lidera grupy, Zbyszka Sawickiego: Zbyt długo nakręcalismy się, by wyruszyć i z każdą chwilą było to coraz mniej realne. Któregoś dnia powiedziałem: Dostyc. Pakujemy rzeczy i jedziemy. Następnego ranka byliśmy w Warszawie.

Za sobą zostawili piekielno rodzinne miasto, gdzie wciąż ci sami ludzie organizują tzw. życie kulturalne, a na koncerty przychodzi już tylko stała brygada. Dwa lata czekali bezskutecznie na wydrukowanie porządných plakatów. Nie znaleźli też nikogo, kto pomógłby im zaistnieć w kraju. Lokalna popularność i tytuł najlepszej grupy Wrocławia to zbyt mało, jak na apetyty Los Lovers. Potrzebne im było spojrzenie na siebie z innej strony, znalezienie się w obcym środowisku, gdzie opinie o granej przez nich muzyce nie będą zniekształcone dozągoną przyjaźnią. Tylko nieznajomym stać na pełen obiektywizm.

Trudno określić muzykę Los Lovers. Zresztą, w ich przypadku każde zaszufladkowanie szybko okazuje się kłamstwem. Kochankowie bowiem zmieniają partnerki jak rękawiczki, ale często wracają do starych miłości...

Zapytany o pierwsze muzyczne fascynacje, Zbyszek Sawicki bez wahania wymienia spotkanie z The Birthday Party. Muzyka Cave'a była dla niego prawdziwym wstrząsem, który wytrącił go z dotychczasowego życia i kazał pójść zupełnie inną drogą. Zamienił więc organy kościelne na gitarę basową, szukał też ludzi, "co gotowi są pójść za nim". Wybór padł na gitarzystę Karasia, perkusistę Kajtkę i wokalistę Marka Wiśniewskiego.

Warszawa przyjęła Los Lovers chłodnymi oddechami klubu "Remont". Tam spędzili pierwsze trzy noce. Bezdomni, zaskoczeni, podzielili się na dwie grupy: jedni wynajęli kawalerkę, a Karaś z Kajtkiem taktycznie rozproszyli się po stolicy. Wymagała tego sytuacja i ich wewnętrzne upodobania: Zbyszek i Marek czują tzw. "powinowactwo duchowe i nie męczą ich przebywanie ze sobą 24 godziny na dobę". Karaś lubi domowe ciepło, więc zadekował się u babci. Słynny perkusista Kajtek, dla odmiany, wiedzie bardzo punkowy żywot. Kiedyś, jeszcze we Wrocławiu, mieszkał na kilku metrach kwadratowych ze szczurem, a łazienkę stanowiły dwa wiaderka: jedno do mycia, drugie na potrzeby fizjologiczne. Teraz błąka się po akademiku, ale to mu bardzo odpowiada: darmowe zupy są w zasięgu ręki.

Los Lovers wypracowali charakterystyczne, łatwe do rozpoznania brzmienie. Nikt w kraju nie gra w ten sposób. Większość utworów zaczyna się od basu, który w rękach Sawickiego wyczynia niesamowite harce. Często jest on instrumentem melodycznym, a sekcję tworzy gitara prowadząca z perkusją. Do tego dochodzi pozaziemski, mocny głos Wiśniewskiego. Sawicki zadbał o to, by w muzyce Los Lovers było jak najwięcej kontrastów: koniec z graniem unisono. Zbyszek najczęściej przynosi na próby nowe pomysły, sugeruje rozwiązania aranżacyjne, ale bez dyktatury. Każdy z muzyków dodaje zawsze coś swojego i chyba dlatego muzyka Loverosów jest trójwymiarowa, odzwierciedla różnice temperamentów ludzi tworzących ten zespół.

Pierwsze tygodnie w Warszawie okazały się nadzwyczaj udane. Zaowocowały koncertowymi i płytowymi propozycjami. Wiele z nich by nie zapeszyć, okrytych jest na razie tajemnicą. Zaproszono ich do "Trójki" na nagranie kilku utworów, rozpoczęli próby w Remoncie, a także zwiedzili wiele nocnych lokali. Plany mają konkretne, a Warszawa nie jest ostatnim przystankiem na ich drodze. Chcemy, mówi Zbyszek Sawicki, by była odskocznią, by zostawić tu po sobie ślad, a potem... Potem czeka Londyn i krótka trasa koncertowa z zespołem No Corridor. Bilety lotnicze zarezerwowali na 15 lipca. Wyjadą w ramach tzw. wymiany kulturalnej między Polską a Wielką Brytanią dzięki pomocy British Institute i PSJ, który zaopiekował się nimi zaraz po przyjeździe do stolicy. Zapewnił im adwokata, opiekę prawną, przejął wszelkie techniczne sprawy związane z działalnością zespołu. Sawicki komentuje: Współpraca z PSJ to szansa, byśmy zobaczyli Londyn o czasie. Mam, delikatnie mówiąc, różne fizjonomie oraz nieuregulowany stosunek do służby wojskowej. Wątpię, by czterech takich ludzi, w jednym czasie, otrzymało paszporty i wize.

Termin odlotu specjalnie przesunęli w "bezpieczną" przyszłość. Niestraszne im teraz długie oczekiwanie w kolejce po dokumenty.

Oprócz koncertów, chcą w Londynie wejść do studia. Materiał na maxi-singiel z muzyką filmową nagrali już dawno. Zbyszek wyraźnie się ożywia, włączając odpowiednią kasę: Scenariusz napisał nasz kolega z Łodzi. Tematem jest narkomania, a chcemy pokazać ten problem w zupełnie inny sposób, co sugeruje tytułowy utwór "I like it".

Nagrania, choć zrealizowane w nieprofesjonalnym studiu, przyciągają już po pierwszych taktach muzyki. To zupełnie nowe oblicze Los Lovers. Zbyszek Sawicki obsługuje swój ulubiony instrument, klawisze, a całość nie brzmi tak drapieżnie jak utwory koncertowe. Zespół prezentuje zatem dwie twarze, a każda wydaje się być prawdziwą i naturalną...

Którą warto zapamiętać? Los Lovers stawiają na obie. Przed wyjazdem do Londynu chcą nagrać dwie płyty, jedną w studiu, drugą na żywo. pociągają ich tak różne od siebie działania. Studio to przecież wyważenie, zaplanowanie wszystkiego bez miejsca na improwizację, a raczej niedokładność. Sawicki widzi to tak: Jeśli zdecydujemy, że w pewnym momencie ma upaść kropelka, to upadnie dokładnie jedna i będzie wyraźnie słyszalna. Koncertu nie da się zagrać w ten sposób, tam panuje żywioł i totalna destrukcja. Zbyszka nazwano kiedyś zdegenerowanym pedantem. Chyba nie bez racji.

Menażer Los Lovers, osiemnastoletni Sebastian, nie jest jeszcze profesjonalistą, ale ma dużo chęci i dynamizmu. Dlatego o zespole mówi się często, coraz więcej ludzi uwikłanych jest w losy grupy. Nazwa "kapela niezależna" to dla Loverosów puste dźwięki. Udzielają wywiadów Rozgłośni Harcerskiej, śpiewają w radiu, nigdy nie utożsamiali się z rockowym podziemiem. Zbyszek otwarcie przyznaje, że chciałby na muzyce zarabiać i kupić sobie wielki samochód ze skrzydełkami: Nie tęsknimy za sukcesem komercyjnym, za pierwszym miejscem na listach przebojów. Nasza muzyka, podobnie jak niegdyś działania The Birthday Party, ma charakter elitarny i nigdy nie będzie podobać się słodkim idiotkom. Najważniejsze jest przeciwieństwo, co i jak się gra, a nie deklaracje bez pokrycia. Ludzie, którzy chcą przez całe życie muzykować w piwnicy, są po prostu śmieszni. Loverosi nie wdają się w żadne układy, najprostszą drogą zmierzają do celu, co przysparza im wielu wrogów ale i wielu przyjaciół. Pierwsi chętnie okrzyknęli by ich psychopatami, złoceńcami i degeneratami. Drudzy przez palce patrzą na prowokacje muzyków. Sami o sobie śpiewają: Ekscentrycy to my. Żeby bunt wypaść autentycznie, nie można bać się własnych myśli. Jak zapewniam, nie są narkomanami, choć według nich penetracje zaswiatów mogą być twórcze. Oczywiście, dopóki nie bierze się prochów każdego dnia i z przymusem... Loverosi nie stronią od alkoholu, ale nawet wtedy, kiedy wydają się być "poza kontrolą", panują nad muzyką i dramaturgią koncertów. Wtedy o wszystkim decyduje współpraca woklaisty z basistą, bowiem słuchają siebie ze szczególną uwagą i to oni decydują o rozłożeniu napięcia, o przyspieszeniu lub zwolnieniu tempa.

Radośni pesymiści w życiu, nie zmieniają poglądów na scenie. Teksty angielskie pisze ich Wielki Przyjaciel, który doskonale włada obcym językiem. Przychodzi na próby i za pomocą butelki wina wprowadza się w odpowiedni nastrój. Wtedy wiersze płyną od ręki same z siebie, a ukryte źródło to czujne serce, jak mawiał pewien irlandzki poeta, który szukał absolutu. Słowa polskie wybiera Zbyszek Sawicki, zgłębiając w poszukiwaniu odpowiednich zwrotów tomiki z ojczyzną poezją.

Dziwne, że tak różnie ukształtowani ludzie mogą działać wspólnie. Zasluga to chyba Sawickiego, który przewodzi grupie we wszystkich jej poczynaniach. Do dzisiaj fascynuje go Bach: Według mnie to najwspanialszy basista wszechczasów. Jego kontrapunkt jest majstersztykiem i wszyscy czerpią z tego nawet dzisiaj. Zbyszek poświęcił muzyce wszystko. Kiedy potrzebne były pieniądze na zakup sprzętu, sprzedał nawet samochód. Z tej drogi nie ma już odwrotu. Wiśniewskiego Bóg obdarzył nie tylko usmiecchem Nicholsona, ale także wspaniałym głosem. Śpiewa bez wysiłku, naturalnie. Ten, kto słyszał The Swans, wie, o co mi chodzi. Gitarzysta Bułnal stoi przed trudnym wyborem. Po latach starań dostał się do wymarzonej szkoły plastycznej. Granie z rękami umazanymi farbą to trudna sztuka. Musi więc, jak pozostali, dokonać wyboru. Do namysłu zostawiono mu jeden semestr... Schizoidalny gitarzysta Karaś też podporządkował wszystko muzyce. Zrezygnował z posady... przedszkolanki. Kiedy odchodził, dzieci, które bardzo Karasia kochały, poplakały się z nieszczęścia. Ale dość sentymentalnych wtęgotów.

Loverosi zostawili we Wrocławiu domy. Żony tęsknią i kochają. Sawicki wątpi, by można pogodzić te dwie sprawy: dom z rock and rollem. Miles Davis powiedziałkiedyś: Nie podaję ręki muzykom, którzy mają żony... A Zbyszek Sawicki jest maksymalistą. Na piątym roku rzucił studia. Miał do wyboru: albo będzie kiepskim inżynierem i średnim muzykiem, albo przynajmniej jedną z tych rzeczy wybierze i udoskonalą. Czy dopuszcza do siebie myśl o porażce? Nie. Loverosi są pewni własnej wartości i nie ma to nic wspólnego z beznamiętnym zrozumiastwem. Zbyszek dodaje: Nawet jeśli nasza wyprawa miałaby zakończyć się w ryznstrzoku, to zawsze ruszymy z miejsca, w którym teraz jesteśmy. A coś takiego wzbogaca i uczy innego postrzegania świata.

Na razie wszystkie atuty trzymają w swoich rękach.